Pobudka
TYGODNIK

W NUMERZE:
* Przyjazne gesty
* List z Warszawy
* Groźny kryzys
* Nasza powieść

Łódź, dn. 18 maja 1947
Rok III. Nr. 20
CENA 5 ZŁ.

KTÓRĘDY DROGA?

Tow. Adam Kuryłowicz, wiceprzewodniczący CKW., PPS. i sekretarz generalny KCZZ — poruszył na łamach „Robotnika" problem, będący—bądźmy szczerzy — przedmiotem wielu polemik między towarzyszami pracy. Chodzi o problem posunięć personalnych w poszczególnych zakładach pracy.

Artykuł tow. Kuryłowicza — to nie może dla nikogo być wątpliwością — podyktowany był głęboką troską o to, aby wyjaśnić sytuację i skończyć z szeptami — bo stać nas na to, byśmy głośno mówili o tym, co jest do naprawienia.

— Złe wieści przychodzą do nas z fabryk, hut, kopalń. Niestety, ze zbyt licznych zakładów pracy" — pisał tow. Kuryłowicz w swym artykule — „z przeróżnych stron kraju, z przeróżnych przedsiębiorstw napływają głosy, których ton dźwięczy podobnie i wyrażają jednakową skargę. Niewprawne ręce robociarskie, ręce różnych, nie znających się przecież nawzajem ludzi, wyrażają jeden żal. Mówią, że robotnikom dzieje się krzywda. Że tu i tam, w takim i takim zakładzie pracy panuje duszna atmosfera. Że znaleźli się tam ludzie, oderwani od klasy robotniczej, nie rozumiejący jej ducha, którzy prowadzą działalność samowolną i sobiepańską. Zwalniają i przyjmują pracowników, nie oglądając się na nikogo z załogi przedsiębiorstwa, lekceważą i łamią prawo i zdobycze klasy robotniczej. Że oto na nowo powstał klan „personalników". Ważna i konieczna w każdym większym przedsiębiorstwie funkcja urzędnika do spraw osobowych nie jest przez tych dziwnego chowu „dygnitarzy" rozumiana tak, jak należy — wyszukanie dla przedsiębiorstwa najlepszych ludzi, mających kwalifikacje i rzetelną chęć do pracy dla przedsiębiorstwa i państwa. Nie, oni wynaleźli inny, nowy sposób organizowania przedsiębiorstwa i jego ulepszenia, „przyczyniając się" swoiście do wykonania planu. Odkryli oto, że na kwalifikacje zawodowe wpływa, nawet decyduje o nich legitymacja partyjna.

Wołania są zbyt liczne, aby można je zlekceważyć. Sprawy są poważne i wymagają natychmiastowej reakcji każdego działacza związkowego, każdego robotniczego działacza politycznego.

CO MÓWIĄ FAKTY?

Już od pewnego czasu dźwięczały w naszych uszach te niepokojące sygnały. Musimy błędy naprawić. Jakież bowiem są fakty? Faktem jest, że powstała grupa „personalników". Grupa, bo mimo, że nie są to ludzie bezpośrednio przestrzennie z sobą związani, posiadają oni swoją specyficzną psychikę, widocznie podobny sposób postępowania przez stosowanie metod, niemile przypominających ich niesławnej pamięci przedwojennych poprzedników. Ludzie ci na pewno w wielu wypadkach działają w dobrej wierze. Ale działają niewłaściwie. W nadmiernej gorliwości, przez brak zrozumienia wytycznych władz centralnych, wypaczają linię Rządu, linię obu partii robotniczych, podważają dyscyplinę pracy i wykonanie Planu Odbudowy Gospodarczej.

Naruszeniem linii obu partii robotniczych jest jakiekolwiek łączenie pracy z legitymacją partyjną. Dobrze i pięknie, jeżeli pracownik ma ambicję, aby na tę legitymację zasłużyć. Dobrze i pięknie, jeżeli coraz większa część załogi widzi swoje miejsce w pracy partyjnej. Ale w robocie, a nie dla otrzymania roboty. Takie działanie „personalnika" nie przynosi partiom korzyści, natomiast zakładowi pracy — szkodę.

Naruszeniem linii obu partii robotniczych jest kierowanie się w produkcji względami niegospodarczymi. Pogłębia to tylko istniejące marnotrawstwo gospodarcze w przemyśle, któremu Rząd i obie partie wypowiedziały zdecydowaną wojnę".

Takie było zdanie tow. Adama Kuryłowicza. Ministerstwo Przemysłu i Handlu rozesłało sprostowanie, które sprostowaniem właściwie nie było. W całym artykule tow. Kuryłowicza nie ma bowiem mowy o czymś innym jak tylko o posunięciach niektórych jednostek w niektórych przedsiębiorstwach, posunięciach które „wypaczają linię Rządu i obu partii robotniczych".

Zabrał w tej sprawie również głos tow. Roman Zambrowski z KC. PPR, który w artykule pt.: „Nie tędy droga" pisał między innymi:

Artykuł tow. Kuryłowicza w „Robotniku" z dnia 7 maja znalazł już pewne echo w prasie. Komunikat Ministerstwa Przemysłu wykazał merytoryczną nieścisłość : wręcz bezpodstawność jego zarzutów.

W świetle tego komunikatu okazuje się, że ogólnikowo zaatakowany przez tow. Kuryłowicza „klan personalników", to bardzo pożyteczni pracownicy administracji fabrycznej, mający ściśle zakreślone ramy działalności i poważne zasługi zarówno w wysunięciu ośmiu tysięcy robotników i majstrów na stanowiska kierownicze w przemyśle, jak w pracy nad przesiedleniem na Ziemie Odzyskane wykwalifikowanej kadry robotni-

czej, jak wreszcie w uruchomieniu i organizacji szkolnictwa przemysłowego, w którym kształci się ponad 40 tys. robotników i dzieci robotniczych.

W świetle tego komunikatu okazuje się również, jak bezpodstawne i panikierskie były informacje tow. Kuryłowicza o masowej fali redukcji wśród robotników, redukcji rzekomo powodowanych względami partyjnymi. Stwierdzone bowiem zostało, że wszystkie redukcje oszczędnościowe włącznie z przesunięciami z działów nieprodukcyjnych pomocniczych do działów produkcyjnych wewnątrz zakładów pracy obejmują 30 tys. pracowników, a objęły dotychczas tylko 7 tys. pracowników.

Już tych aktów wystarczyłoby, aby nie zajmować się więcej artykułem tow. Kuryłowicza, gdyby nie ta okoliczność, że artykuł ten nabiera szczególnej wymowy politycznej, na tle ogólnej sytuacji gospodarczej i politycznej kraju oraz na tle wczoraj opublikowanej uchwały CKW PPS w sprawie praktyki jednolitego frontu klasy robotniczej w Polsce.

Jest rzeczą jasną, że bezpodstawnym i żadnym aktem, żadnym nazwiskiem nieumotywowany atak na personalników rugujących rzekomo robotników i to nawet fachowców, którzy od pierwszego dnia odrodzenia Polski przystąpili do pracy nad odbudową kraju, tylko dlatego, że są pepesowcami (bo do tego sprowadza się sens artykułu), jest atakiem na organizacje fabryczne PPR, atakiem tym cięższym, że uogólnionym i zupełnie nieuzasadnionym.

Na artykuł ten rzeczowo odpowiedział tow. Hochfeld:

„Artykuł tow. Kuryłowicza w „Robotniku" z dnia 7 maja br. znalazł już — jak to słusznie zauważył tow. Zambrowski — pewne echo w prasie. Istotnie nie mogło być inaczej. Nikt przecież nie wątpi w to, że za wypowiedzią wiceprzewodniczącego CKW PPS i nadto sekretarza generalnego KCZZ, zamieszczoną w centralnym organie Partii — stoi Partia, jako całość. Nikt nie powinien też wątpić, że głęboką troską o los robotników, nacechowana krytyka niektórych pociągnięć niektórych kierowników wydziałów personalnych nie powinna dawać żadnego powodu do gwałtownej solidarności M.P. i H., z niektórymi kierownikami, a tym bardziej do gwałtownej solidarności kierownictwa PPR z M. P. i H.

Rzeczy leżą przecież w innej płaszczyźnie. Niewłaściwie pociągnięcia NIEKTÓRYCH kierowników wydziałów personalnych i nie zawsze właściwa i równomierna obsada tych stanowisk w przemyśle i poza przemysłem—to sprawa wcale nie nowa. Była ona przedmiotem niejednej rozmowy między PPS i PPR i przysparza obu naszym partiom wiele trosk. Minister Przemysłu i Handlu również nie może i nie powinien się żalić, że o sprawach tych nie został w swoim czasie obszernie przez nas poinformowany. Twierdzenie, że wszystkie zarzuty są ze złej woli wypływającą „insynuacją"; że chodzi tu o „atak skierowany przeciwko władzom i osobom", przeprowadzającym akcję oszczędnościową za to, że tę akcję przeprowadzają — twierdzenie takie jest NIEUZASADNIONE I NIEPRZEKONYWUJĄCE. Nie przekonało ono ani czytelników, którzy chodzą po ziemi, ani nas, którzy mamy fakty, ani autorów, którym część tych faktów w swoim czasie przedstawiono. Wierzymy zresztą głęboko, iż zdaniem Ministra Przemysłu i Handlu nieuniknione ludzkie błędy w działaniu organizacji i aparatu należy naprawić, a nie przekonywać, że ich nie ma. Jeśli Minister dotąd błędów tych naprawić nie zdołał, to zapewne dlatego, iż w nawale innych spraw zapomniał o tym, co mu już sygnalizowano. Chcieliśmy mu przypomnieć — nie ze złośliwości, ALE DLATEGO, ŻE ZA MANKAMENTY JEGO RESORTU PONOSIMY W PEŁNI, JAKO PARTIA, ODPOWIEDZIALNOŚĆ; DLATEGO, ŻE WŁAŚNIE TERAZ CZAS NIEKTÓRE Z TYCH BŁĘDÓW WSPÓLNYMI SIŁAMI NAPRAWIĆ.

Jedność działania PPS i PPR nie zwalnia żadnej z naszych partii od CZUJNOŚCI W DZIEDZINIE APARATU PUBLICZNEGO. Towarzysze z PPR wiedzą o tym dobrze. Ileż razy zwracali uwagę — najczęściej słusznie — na mankamenty w działaniu „Społem"! Ileż razy w Sejmie wysuwali krytyczne postulaty pod adresem Ministerstwa Skarbu, czy innych resortów, kierowanych przez PPS-owców! ODNOSILIŚMY SIĘ ZAWSZE Z CAŁYM SZACUNKIEM DO TEJ ICH CZUJNOŚCI; SZANOWALIŚMY TO ICH PRAWO. Z kolei i my, nie uważaliśmy nigdy, że resorty kierowane przez PPS-owców są „tabu"; posuwaliśmy się aż do publicznego omawiania ich braków — bo my się publicznej opinii nie obawiamy, nawet jeśli po ludzku błądzimy. Ale dlaczego to taka nasza czujność, podyktowana wyłącznie faktem, iż ponosimy WSPÓŁODPOWIEDZIALNOŚĆ za rządy, a wynikająca z nieuwzględnienia naszych uwag i postulatów, przedłożonych właściwie i we właściwym czasie — dlaczego taka nasza czujność ma się akurat cofać PRZED NIEKTÓRYMI WAŻNYMI SPRAWAMI I RESORTAMI? I co to ma wspólnego z jednością działania obu naszych partii? CZY TA JEDNOŚĆ DZIAŁANIA W TAKIM WYPADKU NIE POWINNA SIĘ WYRAŻAĆ WŁAŚNIE W ZGODNEJ, PUBLICZNEJ, CZUJNEJ, TROSKLIWEJ KONTROLI? Czym to tow. *Kuryłowicz obraził jedność* działania PPS i PPR, domagając się usunięcia istniejących naszym zdaniem braków w pracy niektórych kierowników wydziałów personalnych?

Artykuł tow. Kuryłowicza poruszył zagadnienie raczej incydentalne, acz ważne. SAM BYŁ INCYDENTALNY. Analiza problemu, który wokół niego wynikł, nie prowadzi nas jeszcze do odpowiedzi na pytanie: KTÓRĘDY DROGA. Tym zajmę się dopiero w następnych artykułach. Ale już na tle artykułu tow. Kuryłowicza trzeba, aby nasze dwie partie SPOJRZAŁY SOBIE UCZCIWIE W OCZY; powiedziały sobie jasno, że nic ich rozerwać nie może, bo cel ich jest wspólny; podały sobie raz jeszcze ręce—jak rewolucjoniści rewolucjonistom, jak działacze działaczom, jak przyjaciele przyjaciołom, jak ludzie prości prostym ludziom, jak robotnicy robotnikom; ODRZUCIŁY „FILOZOFIĘ" NIEDOMÓWIENIA, FIKCJE, CAŁY BAGAŻ ADWOKACKICH DOWODZEŃ; i zagadały do siebie istotną treścią tych oto słów ostatniej uchwały CKW PPS:

„JEDYNYM sposobem dalszego zacieśnienia szeregów ruchu robotniczego... jest coraz lepsza... praktyka jednolitego frontu równorzędnych partii robotniczych... coraz większa szczerość, serdeczność i życzliwość wzajemna, coraz dokładniejsze praktyczne wykonywanie powziętych wspólnych decyzji i uzgodnionych postanowień, CORAZ DALEJ I GŁĘBIEJ IDĄCE WYRÓWNYWANIE DYSPROPORCJI I NIERÓWNOŚCI W ZAKRESIE WPŁYWU NA BIEG SPRAW PAŃSTWOWYCH",

Przegląd PRASY

Przyczyną aktualnego kryzysu rządowego we Francji były, jak wiadomo, różnice w poglądach partii socjalistycznej i komunistycznej na metody rozwiązania aktualnych trudności gospodarczych i politycznych, a przede wszystkim na problem podwyżki płac w przemyśle. Różnice te doprowadziły, w konsekwencji powstrzymania się deputowanych komunistycznych od głosowania nad votum zaufania dla rządu Ramadiera — do otwartego kryzysu.

„Obecny kryzys — zdaniem „Times" — wykracza już poza ramy zwykłego konfliktu międzypartyjnego lub gospodarczego. Aktualna sytuacja może wywrzeć decydujący wpływ na kształtowanie się polityki francuskiej".

„Konflikt ten, zdaniem „Daily Telegraph", nabiera specjalnego charakteru na tle niedawnych wystąpień gen. de Gaulle i ukonstytuowanie się nowego prawicowego ugrupowania politycznego pn. „RPF".

„Nad życiem politycznym Francji — pisze „Times" — unosi się cień de Gaulle'a i jego ruchu. O ile partie nie będą umiały znaleźć wyjścia z wytworzonej sytuacji w drodze konstytucyjnej lub parlamentarnej — wygrywającym będzie de Gaulle".

W wyniku burzliwych obrad rada naczelna SFIO opowiedziała się nieznaczną większością głosów za pozostaniem socjalistów w gabinecie. Decyzja ta wywołała olbrzymią ilość komentarzy wśród prasy francuskiej jak i zagranicznej wszystkich odcieni.

I tak np. zdaniem „Humanite" uchwała rady krajowej SFIO oznacza krok na prawo partii socjalistycznej. Paryski „France Tireur" — organ lewego skrzydła partii socjalistycznej rzuca pytanie: „co pocznie premier Ramadier wobec postulatów CGT, stojącej na czele ruchu prawniczego? Jak zdoła on wreszcie pogodzić interesy konserwatywnej większości nowego rządu z interesami klasy robotniczej?"

Leon Blum, opowiadając się za polityką Ramadier — stwierdza w „Populaire", że „socjaliści pragną i będą kontynuować dotychczasową politykę gospodarczą rządu, i że nie zmierzają do popoparcia planów zawierających ryzyko utworzenia bloku antykomunistycznego we Francji czy bloku antyradzieckiego na świecie".

Jest jasnym, że obie partie robotnicze, zwłaszcza w obliczu montowania się bloku prawicy, której symbolem jest gen. de Gaulle — muszą, w interesie przyszłości demokracji francuskiej, przejść ponad dzielącymi je różnicami. Muszą one zdobyć się na szczery kompromis i współpracę. **WP.**

Polityka i życie

PRZYJAZNE GESTY

Obserwujemy ostatnio przejawy w życiu politycznym świadczące o tym, że Anglia zdecydowała się zmienić swój stosunek do państw Europy środkowo-południowej. Minister Wielkiej Brytanii Bevin, odbył dłuższą naradę z premierem tow. Cyrankiewiczem i min. Modzelewskim. Po powrocie do kraju wezwał Izbę Gmin do ratyfikacji polsko-brytyjskiego układu handlowego, oraz złożył oświadczenie, że obowiązkiem wszystkich Polaków jest powrót do kraju.

Stwierdzenie tego rodzaju w normalnych warunkach nie byłoby czymś godnym specjalnej uwagi, ale w okresie powojennym, kiedy wspieranie przez rząd angielski nieprzejednanych emigrantów polskich było celową akcją zmierzającą do osłabienia naszych wpływów — tego rodzaju wypowiedzi świadczą o zmianie nastawienia.

Demokratyczne władze naszego kraju zawsze podkreślały, że pragną przyjaznej współpracy z każdym narodem miłującym pokój. Czas okazał, że pomiędzy Polską i Wielką Brytanią, nie ma istotnych powodów do niezgody. Należy tylko umiejętnie zestrajać wspólne interesy i nie kierować się złą wolą.

Groźny kryzys

Kryzys rządowy we Francji zakończył się ustąpieniem ministrów komunistycznych z gabinetu. Wprawdzie zmiany rządów są zjawiskiem we Francji dość częstym, (dziennikarze zachodnio-europejscy mają takie powiedzenie — „jedź do Londynu poto, aby obejrzeć zmianę warty przed pałacem królewskim, do Paryża, aby przyjrzeć się zmianie rządu") — obecnie jednak kryzys jest wyjątkowo groźny.

Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że komuniści wycofali się i głoszą zmianę dotychczasowej polityki gospodarczej, opartej od czasu wyzwolenia Francji na zasadzie niepodwyższania płac i systematycznej obniżce cen. Obecnie komuniści francuscy uznali, że nie mogą pogodzić się na kontynuowanie takiej polityki.

Socjaliści twierdzą, że radykalna zmiana francuskiej polityki gospodarczej mogłaby pogrążyć kraj w chaosie pieniężno-gospodarczym i stworzyć podatny grunt dla działalności de Gaulle'a. Dotychczasowe trzy największe partie francuskie reprezentujące: socjalistów, komunistów i postępowych katolików odżegnywały się zdecydowanie od dyktatorskich tendencji de Gaulle'a i podtrzymywały ścisłą współpracę. Po ostatnim wystąpieniu ministrów komunistycznych podstawy tej współpracy zostały poważnie poderwane. Jest oczywiste, że otwiera to wrogom ustroju republikańskiego większe niż dotychczas możliwości działania. Hasło: nie ma wroga na lewicy, jest dziś we Francji niewątpliwie najbardziej aktualne.

Obrady Polaków we Francji

W obecności około tysiąca delegatów reprezentujących 394 Rady Narodowe Polaków we Francji rozpoczął w Paryżu swoje obrady Trzeci Walny Zjazd Wychodźtwa Polskiego. W obradach uczestniczyli przedstawiciele polskich władz państwowych. Prezydent R.P. wystosował do Zjazdu orędzie w którym między innymi oświadczył:

W imieniu Rzeczypospolitej i swoim własnym przesyłam zjazdowi wychodźtwa polskiego we Francji serdeczne pozdrowienia i życzenia owocnej pracy.

Wasza serdeczna troska i gorące uczucie łączności z krajem ojczystym, Wasza sympatia i poparcie dla tego wielkiego dzieła, które podjął i prowadzi Rząd demokratyczny Rzeczypospolitej, napełnia nas dumą i radością, dodając bodźca do pracy nad odbudową Polski, nad podniesieniem kultury i dobrobytu ludu pracującego, nad utrwaleniem sił, wielkości i niepodległości naszej Ojczyzny.

Po raz pierwszy w dziejach naszych zwycięska demokracja polska odwróciła kierunek wędrówki polskiej. Nie z Polski do obcych krajów po gorzki chleb tułaczy, ale z krajów obcych do Polski płynie dziś rzesza Polaków.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Dzisiejszy mój odcinek będzie troszeczkę inny niż zawsze. Będzie inny, gdyż w odpowiedziach, przesyłanych nam w ramach „ankiety", wielu z czytelników prosiło o wprowadzenie do naszego tygodnika „działu sportowego".

I tu właśnie — chociaż na sporcie zbyt dobrze się nie znam, chociaż po wojnie od sportu jestem zdala, pozwolę sobie na marginesie „zdrowego ciała" skreślić kilka słów o „zdrowym duchu".

O takich czy innych burdach, bójkach, awanturach nie będę pisał, choć taki wypadek, jaki przed miesiącami miał miejsce bodajże na Śląsku, gdzie członkowie drużyny piłkarskiej, niezadowoleni z orzeczeń sędziego, wyciągnęli w czasie meczu z pod kostiumów sportowych... rewolwery — prosi się aż, by go upamiętnić w felietonie.

Będę pisał o sprawach, które mają właśnie dla takiego jak ja — „niesportowca" — dziwny aspekt.

„ZUM SIEG!"

Najpierw więc boks.

W ubiegłym roku dużo szumu robiono wokół osoby jednego ze śląskich bokserów, któremu zarzucano kollaboracjonizm. Nie tylko mu zarzucano, ale reprodukowano nawet zdjęcia z lat okupacji, na których widzieliśmy tego imć pana w koszulce reprezentanta Niemiec!

Nie wiem, w jaki sposób tę całą aferę wyjaśniono, bo wydawało się, że na tak oczywiste fakty jakie przytaczano — nie może być żadnych wyjaśnień, w każdym bądź razie na ostatnich mistrzostwach Polski w boksie — były volksdeutsch zdobył mistrzowską koszulkę i chodziły słuchy, że będzie reprezentował Polskę na mistrzostwach Europy w Dublinie.

Zdobył mistrzostwo, chociaż przed czterema laty był reprezentantem „rasy panów" i choć na mistrzostwach Polski w roku pańskim 1947 dopingowano go takimi okrzykami: „Helmuth"! Noch eimal von links! Helmuth! zum Sieg!..."

I czy tego rodzaju precedens nie wydaje się dziwnym i bardzo, ale to bardzo niezrozumiałym?...

H J. — TO NIBY NIC?

Zarzut kollaboracjonizmu podniesiony był również swego czasu przeciwko jednej z łódzkich pływaczek. Opublikowanie w prasie faktu, iż ta młoda panna startowała w czasach okupacji w reprezenacji Hitlerjugend spowodował, iż nawet jej macierzysty klub zawiesił ją do czasu wyświetlenia tej sprawy. Wydawało się, że wszystko w porządku i że postawiono nad ową panną kropkę.

Tymczasem — choć zarzut postawiono jej publicznie — opinja publiczna nie dowiedziała się w jaki sposób ta pływająca osoba została przez władze sportowe zrehabilitowana — i przed kilku tygodniami znaleźliśmy jej nazwisko w reprezentacji Łodzi.

Ponieważ (też nie wiemy z jakich powodów) imć panna na zawody nie stawiła się — została zawieszona. Została zawieszona przez władze okręgowe nie za to, iż w latach okupacji startowała jako reprezentantka „herrenvolku", tylko za to — iż nie stawiła się na zawodach.

I tej historii również nie możemy zrozumieć, nie możemy nawet zrozumieć, wtedy, jeśli tłumaczy nam się, iż w latach okupacji miała owa mistrzyni 15 czy 16 lat. My znamy polską młodzież, która właśnie należy do rówieśników „mistrzyni" — i ta młodzież nie życzy sobie chyba zbytniego „równouprawnienia z członkinią BDM. Co innego jest pływać w wodzie, a co innego pływać w pewnych określonych warunkach historycznych.

NIE OŚMIESZAJMY SIĘ!

W tym tygodniu na kortach warszawskich odbywały się międzynarodowe zawody tenisowe w ramach rozgrywek o puchar Davisa między Anglią i Polską.

Od szeregu tygodni naczelne władze tenisowe zapowiadały, iż w drużynie polskiej startować będą zawodnicy, którzy do tej chwili, którzy w ciągu dwu lat od zakończenia wojny nie zdążyli jeszcze powrócić do Polski. Wydawało się to nieco dziwnym, ale niektórzy mówili: „diabli wiedzą!... może dlatego tak długo nie wracali, iż kazano im na kortach Anglii sławić imię Polski!?..."

Tymczasem przyjechali z Anglii do Polski tenisiści angielscy, a tamci „wyznaczeni do reprezentacji" absolutnie wracać nie zamierzają.

I kropka. I postawiwszy kropkę — pytamy: jak się więc stać mogło, że tego rodzaju typy są typowane przedwcześnie na reprezentantów naszych barw?... Czy tylko dlatego, by ewentualnie wygrać mecz — to do drużyny wsadzimy każdego kto nam się pod rękę podwinie, nie patrząc kto zacz i skąd — byleby dobrze grał?...

Obecnie obu zawodników, którzy odmówili powrotu do ojczyzny, będzie się prawdopodobnie potępiało w czambuł. Ale dlaczego do dziś przyznawaliśmy się do nich i dlaczego przedwcześnie podawaliśmy skład naszej drużyny?... Czy poto by obecnie rumienić się i przed Anglikami i przed polską opinią sportową?...

TURYŚCI.

Tego rodzaju historyjek, faktów, różnego rodzaju przykrych precedensów — możnaby wyciągać długie, długie litanie. Możnaby przejrzeć listy wybitniejszych polskich sportowców i powiedzieć: ten w czasie okupacji bił się w tej niemieckiej drużynie, ten był takim a takim niemieckim urzędnikiem, temu zarzuca się współpracę z Gestapo, ten klub w ten sposób kaperuje zawodników, a tamten klub znów takimi metodami wygrywa swe mecze... Powtarzam: to byłaby litania. Długa i bardzo brudna.

I dlatego na jedno tylko jeszcze zwrócić chcę uwagę. Na turystów.

Bo rozumiemy, że miło jest gdy jakaś drużyna wygra czy nawet czasem przegra jakieś spotkanie za granicą. Ale nie rozumiemy, poco wysyła się za granicę drużyny beznadziejnie słabe, drużyny bez żadnych szans. Czy poto, by wydać grube tysiące złotych, czy poto by obok siedmiu zawodników czy zawodniczek wyjechało — dziesięciu „działaczy sportowych". Bo tak się do tej pory dzieje. Bo tak się dzieje, że nie potrafią ci działacze przyzwoicie załatwić dla zawodników wiz wyjazdowych, nie potrafią zamówić dla drużyny miejsc w samolocie, by ta na czas zdążyła na mistrzostwa Europy i w rezultacie drużyna tydzień siedzi w Pradze, ale potrafią „zabrać" się z nimi, potrafią im asystować i to w składzie częstokroć liczniejszym niż drużyna zawodników.

POWIETRZA!

Tak! Tak! Nasz powojenny sport — to w dalszym ciągu dżungla!

Tak samo jak przed wojną kaperuje się przekupuje się, terroryzuje, patrzy się przez palce na różne świństwa i brudy, rehabilituje się odszczepieńców, bo ci mają dobre pięści i potrafią zasilić drużyny, które mają pewnych protektorów.

I kto do tej dżungli napędzi trochę świeżego powietrza...

Bo w tym powietrzu — niejeden z przyzwoitych ludzi — udusi się!

Naprawdę!... rys.

Zdążył dogonić nas i chcąc zadokumentować swoją obojętność dla „społecznej własności“ znajdującej się pod naszą opieką, przysiadł się do ostatniego wozu naszej karawany. — Panie podchorąży!! Lepiej zawczasu na bok zjechać, bo jak nas te szkopy zlornetują...

Nim Rafał zdążył naradzić się z Malinowskim, rozległo się kilka grzmotów i niedaleko od nas, w okolicach Zgierza — jak stwierdził Czajka — zakurzyło się.

W tej samej chwili ustał na szosie wszelki ruch: rozproszono się po polach.

W miejscu, na którym znajdowaliśmy się nie mogło być mowy — ze względu na głębokie rowy przydrożne — o ucieczce z końmi w pole. Malinowski podciął konie.

Samoloty nagle zmieniły kurs, kierując się w stronę Łodzi. Mogliśmy odetchnąć. Jednak nie upłynęła od pierwszego spokojnego oddechu minuta, gdy Pawełek znów ogłosił z trzeciego wozu alarm lotniczy:

— Panie podchorąży! One pikują i będą zasuwać po szosie! O skurczybyki niewierne...!

Samochód Polskiego Czerwonego Krzyża, jaki, przed chwilą wyprzedził nas, zatrzymał się nagle i teraz mogliśmy przekonać się, że i on był już celem samolotowych kaemów: białe koło, na którym czerwienił się znak krzyża było w kilku miejscach podziurawione.

— Zjeżdżacie? — z szoferki wysiadł kapitan — lekarz.

— Tak jest! — odpowiedzieli, jednocześnie Rafał i Malinowski.

— Możecie zabrać dwóch...? — lekarz wskazał oczyma na samochód.

— Oczywiście!

Kierowca otworzył drzwi ambulansu i za chwilę przenieśliśmy przez rów, dwóch rannych kanonierów. Trzeci pasażer ambulansu, saper, z roztrzaskanym ramieniem, wyszedł z auta sam.

Malinowski owiązał lejce luźno o prymitywny zamek skrzynki z sieczką, na której do tej pory siedział, zsunął się na ziemię, chwycił za uzdy konie i przeprowadził je ukośnie przez rów. Za nim uczynili to samo kierowcy naszych dwóch pozostałych pojazdów.

Obydwu ciężko rannych kanonierów umieściliśmy na naszym wozie.

— Wyżywają sie... s...y! — zauważył lekarz-kapitan do Malinowskiego, wskazując dziewięć szybkich samolotów niemieckich, krążących w odległości 45 sekund powietrznej szybkości od nas, w jednym i tym samym miejscu. — To bedzie... To będą chyba Brzeziny, prawda? — zapytał, ale nikt z nas nie potrafił odpowiedzieć na jego pytanie.

Jakoż „były“ to rzeczywiście Brzeziny ale o tym miałem dowiedzieć się znacznie później...

Konie ciągnęły wozy powoli, gdyż pola były nie dawno podorane i koła głęboko grzęzły w ziemi.

Nie trwało jednak długo, gdy miedzą dotarliśmy do wąskiej dróżyny polnej a po niej — do „kaczego jeziora“ (tak nazwanego oczywiście przez Pawełka), które mimo swych skromnych wymiarów, sąsiadując z łąką, musiało służyć pasącemu się tutaj w lecie bydłu, za wspaniałą oazę. Wyprzągnięte

To, że zabraliśmy nad ranem z jakiegoś młyna nad Wartą sześć koni i trzy lekkie wozy, nie mogło być żadnym przestępstwem, bo rozkaz mówił przecież wyraźnie: „...Odjazd do Łowicza...“

Wozem, na którym i ja się ulokowałem, powoził chwilowo Malinowski, gdyż okazało się, że jeden z naszych siwków był przez cały swój koński żywot używany tylko do pojazdu jednokonnego i miał w swej uprzęży lejce pojedyńcze. Plutonowy mówił, że „choć teraz temu pojedyńczakowi nie bardzo podoba się dyszel, oddzielający go od towarzysza, to jednak do Łodzi nauczy on się przyzwoicie chodzić“.

Jakoteż konie rzeczywiście zaczynały rozumieć powagę sytuacji, same omijały przeszkody w postaci chwilowo unieruchomionych brakiem benzyny samochodów albo dobytków ludzkich, ciągnionych przez osłabione nadmiernym wysiłkiem krowy i cielęta. Zauważyłem, że gdy mijaliśmy jakiś wóz wieśniaczy Malinowski zawsze opuszczał głowę na pierś.

Przypomniał mi się wypadek, jakiego świadkiem byłem dzisiejszej nocy: w lasku, nad samą rzeką, kiedy Niemiec prażył na całego i było tak widno, jak gdyby już miało świtać, dwaj żołnierze ściągnęli z siebie mundury, czapki i buty ! — razem z karabinami i ładownicami — ukryli pod chrustem. Chciałem wówczas krzyknąć na kogoś z naszych, ale spostrzegłem, że byli to oficerowie — koledzy porucznika Walczaka! Postanowiłem nie wszczynać hałasu, lecz powiadomić o wszystkim Rafała. Dowiedziawszy się jednak, że podchorąży jest razem z porucznikiem Walczakiem — opowiedziałem całą historię plutonowemu. Kiedy mówiłem, że obaj panowie mieli na sobie, pod mundurami ubrania cywilne, huknął na mnie, że jestem tchórzem, pomagam zdrajcom, że powinienem — nawet, gdyby mieli oni być generałami — wystrzelać, jak psów.

Spojrzałem teraz na mój karabin: jeszcze nie biłem z niego do żywego celu...

Podniosłem głowę i spotkałem wzrok Malinowskiego: siedział na skrzynce z sieczką, oparty o ścianę wozu wsłuchany w takt końskiego marsza. Podniosłem się delikatnie, by nie zbudzić towarzyszy i usiadłem obok niego. Za chwilę skręciłem z jego machorki dwa grube papierosy . . . Kręciłem grube ale zgrabne „machorkowe“. Rozgadywał się wtedy: mówił o swej wsi rodzinnej — o żonie, dzieciach, sąsiadach. Notowałem w pamięci nazwiska wymówione przez niego i w ten sposób utworzyłem sobie obraz ciepłego, polskiego domu wiejskiego...

Za nami spali snem zajęczym nasi towarzysze: Rafał leżał na wznak obok skurczonego Czajkowskiego, a za nimi rudowłosy Ziółkowski. Pawełek — nie wiem dlaczego — nie spał, patrząc przed siebie groźnym wzrokiem.

Tak brudnego, jak dzisiaj, nie widziałem podchorążego jeszcze nigdy. No — pomyślałem — będzie miał nasz Ignaś robótkę... Bo trzeba wiedzieć, że Malinowski — kiedy Pawełek „naganiał“ go wszelkimi swymi sposobami do wypicia za pomyślność plutonu przepisowo czystej — zawsze zabierał się do reperowania butów i często, aby skłonić go do wychylenia jednego

kieliszeczka (jednego z osiemnastu, chowanych starannie przez Pawełka w „gdzieś znalezionym" futerale od pewnych przyrządów pomiarowych) trzeba było interwencji samego porucznika Walczaka. A kiedy znów Rafał stwierdzał głośnym ziewaniem, że dobrze mu się spało i, że sen jest pożyteczny, wtedy Ignaś wyciągał ze swego chlebaka komplet narzędzi fryzjerskich i — zaczynając od rzadkiej brody Czajki — ogłaszał godzinę swych przyjęć. Chociaż przez sześć dni pobytu mojego w plutonie Malinowskiego prawie codziennie miał Ignaś okazję występować w roli fryzjera, jednak nie zdarzyło mi się ani razu, abym widział, że podchorąży nie ma potrzeby wykorzystania fryzjerskich zdolności plutonowego i, że ten ostatni ma z Rafałową brodą mało roboty...

Ignaś spojrzał na mnie, przechylił się do tyłu i potrząsnął ramieniem podchorążego, ale bez skutku — Rafał spał dalej.

— Panie podchorąży — Ignac odezwał się zniecierpliwiony. — Panie Rafale! Miałem was obudzić za Pabianicami.

Rafał otworzył oczy, podniósł się na ramionach, a spostrzegłszy, że wjeżdżamy już prawie do Łodzi, zamruczał pod nosem:

— No, Ignaś, chwała Bogu, żeście nie obudzili mnie dopiero pod Łowiczem. To było by też „za Pabianicami".

— — — — — — — — — — — —

Łódź zmieniła swe oblicze...

Na Pabianickiej i Piotrkowskiej nie było domu, przed którym nie znajdowała by się grupa ludzi omawiających wydarzenia ubiegłej nocy. Byli to przeważnie starcy, niewiasty i dzieci.

Za Placem Wolności zmuszeni byliśmy co chwilę przystawać: koniom trudno było pokonywać przeszkody, spowodowane jednokierunkowym prądem tłumu.

Podchorąży — podczas jednego takiego przymusowego postoju — zeskoczył z wozu i, gdy po chwili wrócił, dowiedzieliśmy się, że „...Niemcy idą z południa, zachodu i północy, że policja opuściła miasto już w nocy i, że trzeba się śpieszyć..."

— Chollleeery...! — śpiewał Pawełek do siebie.

Nie mogłem w żaden sposób pojąć, dlaczego ci Niemcy wciąż idą naprzód...

— I jak się tu śpieszyć, panie podchorąży — mówił grzecznie Malinowski — lewy koń odbił sobie przednie kopyta. Widzicie, że kuleje... A prawego trzeba by podkuć, bo ten znów na tylnych kopytach nigdy w życiu nie miał podków. Widać, wciąż pracował w polu i mógł chodzić — jak to mówią — boso. Nie można, panie podchorąży! Sami widzicie: nie da rady... A to jeszcze owsa nie mamy... a droga długa... trzeba poszukać... i wozy też trzeba obejrzeć i wysmarować... Zobaczcie, jak tamte konie parują — wskazał oczyma jadący za nami wóz, na którym umieściliśmy dwie skrzynki amunicji i trzy erkaemy... — one mają dosyć...

Rafał zmarszczył czoło i mruknął:

Czy sierżant Dymowski, którego rozkazów oczekiwać mieliśmy w Łowiczu, wciąż jeszcze na pierwszej linii bojowej mści śmierć dwuch jego przybocznych chłopaków, zgaszonych na naszych oczach przez karabiny maszynowe niemieckich myśliwców...?

Sierżant był starym wiarusem i, potrafił „przypadać młodzieży do gustu". Był z zawodu kowalem.

— Dymowski? — powiedział kiedyś do mnie Rafał. — Tym nie potrzebujesz sobie dużo zaprzątać głowy. Trzymaj raczej fason gdy znajdziesz się w pobliżu porucznika Walczaka. Powiem ci szczerze: są chwile, kiedy mam wrażenie, że Dymowski jest moim ojcem. To „morus". Młody duch w starym ciele. Tylko ma chory żołądek... Jakiś wrzód... — przez cały dzień żuje czosnek... i — ostrzegam cię — nie znosi wódki, chociaż są tu tacy, którzy znają go z czasów, kiedy odstawiano go z knajpy do koszar, noc w noc, dorożką...

Sierżant Dymowski zawsze potrafił znaleźć wyjście z każdej „sytuacji bez wyjścia", zadając przy tym atakującym szwabom dość nieprzyjemne dla nich ukłucia.

Był „morusem".

Kiedy Walczak oddawał mnie, świeżo upieczonego maturzystę w zużytym mundurze P.W. pod rozkazy Malinowskiego, sierżant Dymowski — miał na piersi kilka wątłych płatków jesiennego kwiatu, delikatnie przyczepionych szpileczką do kieszeni munduru. Zawsze myślałem, że żołnierze nie widzą kwiatów, ale teraz... teraz miałem zmienić nie jedno moje, tak zwane wyrobione, zdanie...

ROZDZIAŁ III

P E C H

Była godzina ósma kiedy odjechaliśmy dalej. Brakowało tylko Pawełka, ale Malinowski orzekł, że „złego diabli niechętnie biorą", i że „jeśli ktoś Pawełkowi nogę przetrącił, stwierdziwszy jego handlowe wyznanie, to staniemy się wtedy prawnymi jego spadkobiercami".

A majętność pawełkowa spoczywała przecież w naszym bliskim sąsiedztwie, pod kocem...

Na przekór naszym cichym życzeniom dzień był słoneczny. Czołgi i samoloty niemieckie miały pole do popisu. Nie mogliśmy pogodzić się z myślą, że osiągniemy Łowicz bez żadnych niespodzianek ze strony lotnictwa niemieckiego. Jakoż kilka kilometrów przed Strykowem; zabrzmiał dobrze nam znany, głos:

— Panie podchorąży! Ale bombowców! wrzeszczał Pawełek, wskazując ramieniem zachodnią część horyzontu.

PRZYPOMINAMY

ZBRODNIE FASZYZMU I MILCZENIE KLERU

W dniu 30 grudnia eskadra samolotów włoskich wbrew wszelkim prawom międzynarodowym zbombardowała ambulans szwedzkiego Czerwonego Krzyża w miejscowości w pobliżu Dolo. W szpitalu znajdowali się wyłącznie ranni i lekarze wraz z sanitariuszami. W pobliżu nie było ani jednego żołnierza abisyńskiego. Lotnicy włoscy zrzucili na szpital przeszło 200 bomb, poczym dobijali rannych kulami z karabinów maszynowych.

Akt tego niesłychanego barbarzyństwa nie jest odosobniony ani przypadkowy. W dniu 4 stycznia samoloty włoskie zbombardowały szpital amerykańskiego Czerwonego Krzyża pod Dagoben, a w pobliżu tej miejscowości lazaret egipski.

Śledztwo międzynarodowego Czerwonego Krzyża, przeprowadzane dokładnie w związku ze zbombardowaniem szpitala szwedzkiego, wykazało jasno, iż nie może tu być mowy o przypadku, ale że atak lotniczy na rannych i lekarzy był z góry uplanowany.

Zbrodnia żołdaków Mussoliniego wstrząsnęła całym światem. Można ją porównać tylko ze storpedowaniem przez Niemców w czasie wielkiej wojny pasażerskiego okrętu „Lusitania". Przyśpieszy ona niewątpliwie położenie kresu krwawej grabieży w Abisynii i samemu faszyzmowi we Włoszech.

Kiedy cały świat zwraca się przeciwko Mussoliniemu i piętnuje barbarzyństwa faszystowskie, jedno tylko państwo pragnie go ratować. Tym państwem jest Watykan. Papież czyni wszelkie starania celem złagodzenia sankcji przeciwwłoskich, gdyż grożą one bankructwem Ojcu świętemu. Pielgrzymki nie przybywają do Rzymu, świętopietrze nie wpływa, cóż ma więc począć biedny Pius XI? Żali się i skarży na socjalistów i masonów, którzy nie dają spokojnie wyżynać chrześcijan abisyńskich. Nie słyszy i nie widzi bluźnierstw włoskich, plamiących krwią znak Czerwonego Krzyża.

(„Tydzień Robotnika" nr. 3, r 1936)

Kapitał ulokowany w znajomościach

Marszałek senatu apelował do panów senatorów, by nie obijali progów urzędów z interwencjami na rzecz takich czy innych osób.

Marszałek ma rację. Poseł czy senator jest przedstawicielem całej ludności, nawet tej, która na niego głosowała, a nie przedstawicielem poszczególnych osób. Bo do czego by to doszło, gdyby system interwencji rozpanoszył się. Cała ludność podzieliłaby się na dwie kategorie: na takich, którzy mają znajomego posła lub sentora, i na takich którzy nie mają tak wysokich znajomości. Pierwszych sprawy byłyby załatwiane, a drudzy nigdyby się nie doczekali załatwienia swoich spraw.

Znajomość z posłami ceniłaby się, jak kapitał. Panna, mająca znajomego posła lub senatora, ale nie mająca posagu, prędzejby znalazła amatora, niż posażna panna bez takiej znajomości.

To samo dotyczy rozwódek.

Nie sądźcie jednak, że tylko posłowie i senatorowie interweniują. Nawet królowie zajmują się interwencjami. Bo gdy naszemu przyjacielowi Mussoliniemu zagrożono sankcjami naftowymi, to wnet skoczył do włoskiego następcy tronu, ten znów do swego szwagra, króla belgijskiego, a ten znowu pojechał do króla angielskiego. Królowi angielskiemu tak rzecz przedstawiono: jeśli Włochom nie da się nafty, to będą musieli skapitulować przed Abisyńczykami i Włochy przegrają wojnę. Przegrana zaś wojna znaczy to samo, co rewolucja. A rewolucja jest jak epidemia. Przenosi się z miejsca na miejsce.

Blady strach padł na międzynarodówkę królów i wówczas to Hoare z Lavalem opracowali swe propozycje podziału Abisynii, na których to propozycjach Hoare już się przewrócił, a Lawal — miejmy nadzieję — także się wywróci.

Senatorom zabronił interweniować marszałek senatu, ale kto może zabronić królom?

Moim zdaniem zakaz taki może wydał tylko Haile Selasie, ponieważ jest on negus negeszti — król królów.

(„Tydzień Robotnika" nr. 3, r 1936)

Biurokracja

Od pierwszych dni istnienia państwa polskiego istnieje zagadnienie usprawnienia administracji. Patronem naszej administracji jest — jak to powszechnie wiadomo — Biurokracy.

Tomy całe możnaby napisać o wyczynach biurokracji i jeszczeby wszystkiego nie wyczerpano.

Co pewien czas powoływano jakiegoś wyższego urzędnika lub całą komisję, której powierzono usprawnienie administracji, czyli zwalczanie biuralistyki i formalistyki.

Wysoki urzędnik lub wysoka komisja pracę swą zaczynała od tego, że rozpisała ankietę do wszystkich urzędów. W ankiecie było od 50 do 100 pytań, na które urzędy musiały odpowiadać. Gdy nadeszły odpowiedzi, wysoki urzędnik lub wysoka komisja usprawniająca zabierała się do bombardowania urzędów okólnikami. Zwały papierów nie tylko nie zmniejszały się, lecz rosły. Św. Biurokracy triumfował. Doszło do tego, że w jednym tylko ministerium Skarbu było samych okólników personalno — administracyjnych 3200. Po przejrzeniu ich ustalono, że 3030 okólników jest przestarzałych.

Co z nimi zrobiono?

Prawdopodobnie je spalono, ale jestem przekonany, że przed spaleniem przepisano je... na czysto.

Inaczej biurokracja nie byłaby biurokracją.

Czy można żądać od człowieka, by chociażby na godzinę przestał oddychać? A biurokratyzm tem jest dla administracji, czem dla człowieka powietrze.

(„Tydzień Robotnka" nr. 23 r. 1936)

„Proletariat" niezarejestrowany

Jest w Polsce taka miejscowość — Końskie. W Końskich jest starosta, którego władza roztacza się również na miejscowość Skarżysko—Kamienna.

W Skarżysku miała się odbyć swego czasu uroczysta akademia ku czci 50-lecia śmierci bohaterów „Proletariatu". Aliści w ostatniej chwili akademia została zakazana. Wydelegowany specjalnie przodownik policji oświadczył imieniem starosty, że partia „Proletariat" nie została zarejestrowana, jest przeto nielegalna i akademia odbyć się nie może.

W związku z tym przypominamy, że czas już najwyższy zlikwidować niezarejestrowane dotychczas stowarzyszenie; Stronnictwo Patriotyczne z epoki Sejmu Czteroletniego, oraz wytoczyć dochodzenie przeciw Kościuszce o spowodowanie zbiegowiska na rynku krakowskim, jak również przeciw niejakiemu Adamowi Mickiewiczowi o niewypełnienie przepisowych kart meldunkowych.

(„Tydzień Robotnika" nr. z dnia 16.5.36 r)

W świecie



Premier francuski Ramadier po ustąpieniu ministrów komunistycznych przeprowadził rekonstrukcję gabinetu. Po obecnych zmianach socjaliści posiadają w rządzie dwanaście tek ministerialnych, pozostałe partie — trzynaście.



Palestyna stała się dla obecnych ma
wym węzłem gordyjskim. Na ilustr
rystów żydowskich



Specjalne obozy w niemieckiej strefie okupacyjnej przepełnione są uciekinierami ze wszystkich prawie krajów Europy. Co najważniejsze, że ludzie ci nie chcą wracać do swych krajów macierzystych, a władze amerykańskie nie bardzo wiedzą co począć z tymi ludźmi bez ojczyzny.



Na zdjęciu prez. Truman,
wnioskować, że jest zadowol
— jak na następcę „Wielkie

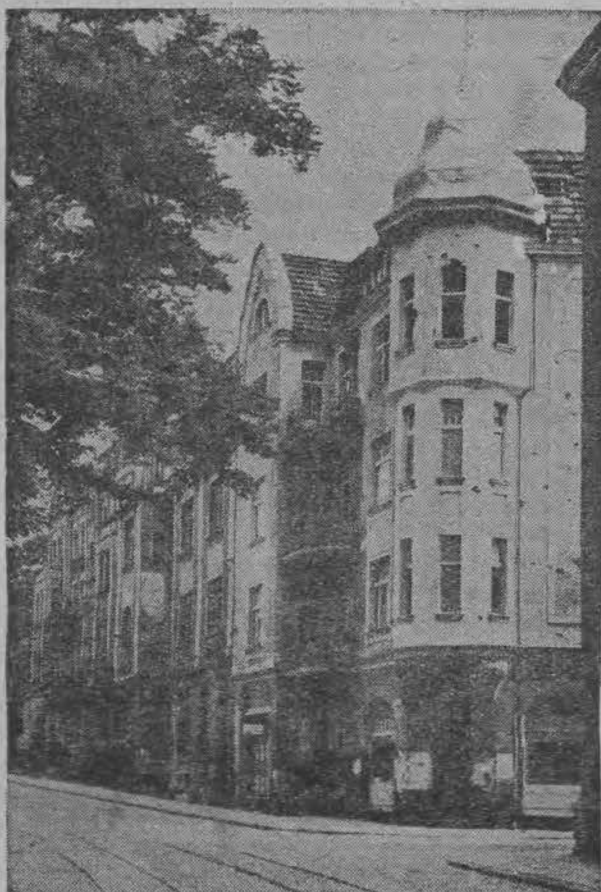


...riuszy — Anglików — przysłowio-
...i szczątki wysadzonego przez terro-
...resu Kair — Haifa.



...którego miny można wy-
... ze swoich niezbyt udanych
... Prezydenta", — poczynań.

i w Polsce



Elbląg należy do najładniejszych, a zarazem najstarszych miast na terenach Pomorza Wschodniego. Fotografia nasza przedstawia ulicę Królewiecką w Elblągu.



Komunikacja kolejowa w Polsce staje się coraz sprawniejsza. Przed kilkoma dniami zostały wprowadzone na linii Łódź — Warszawa, motorowe pociągi t. zw. Lux-Torpedy, przebywające tę przestrzeń zamiast w czterey — w dwóch godzinach i dwudziestu minutach.

NASZ KONKURS 19)

Poniżej drukujemy 19 z kolei odcinek naszego Konkursu Przypominamy, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkursu nr. 19 upływa z dn. 7 czerwca br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny dokładny adres i nazwisko.

Było ich tedy trzech.

Najstarszy za wodza obrany, był przemyślny, uparcie w postanowieniu zawzięty, w wykonaniu zamiaru prędki, naukowo, z przyrodą zżyty i obeznany.

Ziemi szmat posiadał a wśród tej ziemi bagna i lasy, leniwymi rzeczółkami jak siatką porżnięte, od ludzkich dróg dalekie, dla ludzkiej chciwości nie łakome.

Tam, w głębi tych tajni, ukryta jak gniazdo, powstała pewnej wiosny chata samotna. Jakiś czas bielał gontowy dach i trzaski i czerniały koleiny wozów, co z dala przywiozły materiał, po roku wszelki ślad osady zasnuła zieleń i mchy.

Dzikie róże i wino pokryły ściany, chata się stopiła, wrosła, w okalający ją szczelnie las.

Nazwali ją leśni ludzie swoim wyrajem.

Rosomak i Żóraw zimowali w mieście, na straży leśnego raju pozostał Pantera. Wieści zamieniano rzadko.

Więc gdy w końcu lutego ujrzał Rosomak kopertę z patykowatym pismem druha, rzekł tylko:

Będzie wczesna wiosna, musiały już przybyć skowronki, kiedy się Pantera odzywa.

Otworzyli chciwie list i czytali razem dla pośpiechu, i oczy im błyszczały uciechą:

„Wodzowi i druhowi pozdrowienie leśne. Donoszę wam, że wczoraj obudził się ze snu nasz domownik Tupcio. Zasnął tak gruby, że ledwie się w bucie zmieścił, a wczoraj wyszedł tak szczupły, że cholewa mu była jak korytarz, wgramolił mi się zaraz na kolana i pokłuł na powitanie, fukając, jeść. Pożarł mnóstwo sera i mleka, od razu napęczniał gdy to piszę, gania po całym domu, czyniąc nocną policję na myszy. Ma się tedy ku wiosnie. Ale Kuba twierdzi znowu inaczej.

Kuba w październiku zrobił na piecu gniazdo. Zaciągnął tam parę ścierek moje ciepłe rękawice, czepek Drozdowej, dużo waty z gościnnej kołdry, na wierzch przywlókł parę gałęzi z oleandrów a gdy szopa była pod sufit wsunął się do środka, wejście zasunął i chrapnął. Onegdaj też wyjrzał. Temu sen służy. Szubę ma popielatą, lśniącą kitę, jak strusi pióropusz, na uszach pędzle zawadiackie. Wylazł przeciągnął się, chlapnął wody, zagryzł orzechem i wyskoczył do ogrodu. Mało wiele bawił, wrócił zły szubę zmoczył, nogi obłocił, pączki wypluł.

Kuropatw trzy pary mam na górce, znalazłem w sidłach chłopaczych na śniegu, i te mnie co rano pytają, ile jeszcze niewoli.

Rajcują o tym wróble, zmówiny już między nimi, jak w zapust. Te już się kłną że wiosna już.

Pszczoły — jak Kuba! Zastukałem do jednych, pytam: matko czy wiosna?

Zaburczały sennie — cyt—cyt—matka śpi.

I komu wierzyć, i jak tu wytrzymać!

Nie wiosna to i nie zima jędza. Nie pochód to hetmański raju, ale już przednie wici rozesłane — sposobić się czas.

Więc się kto gorętszy sposobi. Leszczyna kutasiki jeszcze karminowe od chłodu otula, ale kotki już puściła na wicher, w wodach lodowatych na dnie widać pęczniejące kaczeńce, pod liśćmi w gaju można wyszukać zawilce. Wszystko gotowe czeka, i gdy ucho do, ziemi przyłoży słychać, że coś grać zaczyna, aż człowiek dorozumieć się nie może: ziemia-li gra czy jego własna krew — jedno! Żyć żyć, żyć!

Gdy wszystko w jeden głos tak krzyknie zawołam do was: bywajcie!

Tymczasem sposobie chodaki, konopace czółno, kosze i więcierze narządzam — i czekam, drżąc z ochoty".

Tyle było listu. Rosomak go jeszcze raz przejrzał.

— Dżdżownice nie ruszyły — rzekł— Jędza jeszcze wróci.

Westchnęli oba. Tęsknica skręciła im serca, i Żóraw dodał:

— Zaleciało barwą, wonią, smakiem, muzyką, popatrzmy, wichru się napijmy!

Mijali łany orne i siewne, ludzkie osady, rostaje, łąki od kaczeńców złote i kierowali się wciąż ku borom.

Szlak się czynił coraz niewyraźniejszy, a bory z wąskiej smugi stawały się ciemną ścianą. Aż, jak przednie straże, zabiegły drogę stare sosny na wzgórku, a za nimi szeroką ławą, bez kresu stanął zwarty wał chojarów, podszytych jałowcem i wrzosem. Powitał ich poszum cichy i uroczysty, jakby modlitewny, a niosący kadzidlane wonie żywicy, i wjechali w Bożychram boru. Wszyscy odkryli głowy, spojrzeli w górę, poruszyły się wargi odzewem dusznym owego powitania. Nikt się nie odezwał, słuchali cali w sobie skupieni.

Prowadziła klacz. Bez namysłu wybierała jakieś szczeliny wśród drzew, ledwie widoczny ślad, nie wahała się na zawrotach, na wąskich przesmykach wśród mokradeł, odnajdywała jakieś kładki na zdradnych oparach, kluczyła, tak, pewna swej pamięci, że, tak sobie stępa idąc, odgryzała to kiść szuwaru, to gałązkę brzozową, to łozowe kocanki i gryzła dla zabawy.

Grunt się obniżał. Jechali przez grobelki, klecone przed wiekami bierwion dębowych kędy może kiedyś szły szwedzkie lub kozackie wojska, obrzeżali szmaty torfowisk, wycierali ślad wśród łóz sążnistych, ginęli w chaszczach trzcin i sitowia, słońce mieli w oczy i plecy, na lewo i prawo, a wreszcie szlak był już tylko ich własny, tyle znaczy, co ścieżka przez łosia wydeptana.

Aż z gęstwiny błysnęła woda, ruczaj, w długi bród rozlany, ginący dalej w łozach, graniczny ruczaj ich leśnego królestwa!

Nagrodzeni w konkursie nr 16

1. Szkoda Stanisław, zam. Opoczno, Janosa 30.

2. Trojan Zdzisław, Skarżysko-Kamienna ul. Multanka 12.

3. Widerkiewicz Irena, zam. Łódź, ul. Kadłubka 15.

Dwie pierwsze nagrody zostały wysłane pocztą. Prosimy o potwierdzenie odbioru. Tow. Widerkiewicz proszona jest o zgłoszenie się w Redakcji.

Fragment wybrany był z powieści Janusza Meissnera pt. „L — jak Lucy".

Chciałem po prostu mieć własne pieniądze, aby móc kupić sobie od czasu do czasu coś miłego mojemu oku, a czego od dziadka żądać nie było mi wolno. Do trzeciej klasy nie promowano mnie. Dziadka bolało to bardzo. Wtedy powiedziałem mu otwarcie, że chcę pracować.

W tydzień później oddano mnie jednemu z najlepszych tkaczy w fabryce, w której dziadek pracował, do pomocy. I to zaraz przy dwóch pięciożółenkowych krosnach „kolorowych"... Czy pan „podchorąży" to rozumie — zapytał, spoglądając mi prosto w oczy, jakby chciał wymóc na mnie odpowiedź twierdzącą.

Czy ja to rozumiem? — Chyba tak... Sam przecież od 15 roku życia pracowałem w jednej z największych tkalni łódzkich, aby móc ukończyć szkołę średnią...

— Po czterech tygodniach — ciągnął dalej strzelec — miałem już dwa „własne" krosna. Pracowałem z prawdziwym zadowoleniem. Dziadek, w każdy czwartek — kiedy oddawałem w domu połowę mojego zarobku, był nie mniej ode mnie zadowolony. Po roku miałem już porządne ubranie, aparat fotograficzny i komplet farb olejnych.

Wszystko to kupiłem za własne pieniądze. Ale... brakowało mi jeszcze czego... Była w Warszawie szkoła rysunków i malarstwa i coś mnie do niej ciągnęło.

Wreszcie zdecydowałem się. Bez wiedzy dziadka udałem się pewnego dnia do gabinetu właściciela fabryki i powiedziałem mu o moim planie. Pokazałem mu moje rysunki, które przed tym każdemu się podobały. Prosiłem go, aby pozwolił mi zawsze pracować ze „zmianą poobiednią", bo trzeba panu wiedzieć, że dużo fabryk pracuje na dwie zmiany. I wie pan co usłyszałem od niego? Jak nigdy jeszcze nie uczyniłem nikomu żadnej krzywdy, tak wtedy, mógłbym z czystym sumieniem temu drabowi podbić ślepia. Łotr powiedział, że spodziewał się tego po mnie, bo przecież jest ogólnie wiadomo, jak pracować potrafią Polacy... To był Niemiec.

Robotnicy powiedzieli mi później, że z nim nie warto zadzierać, bo jest „wpływowy". I co miałem robić?

Musiałem siedzieć cicho, — inaczej mogłem być zredukowany...

***

St. strzelca Ziółkowskiego nie znałem dobrze. Według mnie, należał on do tych nielicznych, którzy — mówiąc delikatnie — nie przyciągają swoją skrytością. Miał tylko jedną ważną zaletę: rozczęstowywał swoje papierosy na lewo i na prawo. Milczenie jego zastanawiało mnie i kilkakrotnie już starałem się wypytać Rafała o jego charakter, ale nigdy nie mieliśmy czasu dokończyć rozmowy.

Miał około dwudziestu ośmiu lat i bardzo lubił pieniądze. Zauważyłem to podczas gry w karty.

Zresztą nie lubiłem rudowłosych...

— Przecież, niech Ignaś robi, jak uważa...

Plutonowy zrobił jak uważał.

A ja... poszedłem do matki. Cały czas płakała...

Dowiedziałem się, że Ryszard jest na froncie...

ROZDZIAŁ II

ŻOŁNIERZE TEŻ PATRZĄ NA KWIATY

Rafał poważnie rozmawiał z matką jakiegoś lotnika, przebywającego stale w Toruniu, Czajka z Ziółkowskim siedzieli na trawie i grali w „oko" na papierosy, a Malinowski golił jakiegoś strzelca z trzeciego wozu.

Konie kończyły poranny posiłek, radośnie wymachując długimi ogonami.

Pawełka — jak zwykle w takich chwilach — nie było.

Dziwny był z niego typ żołnierza. Miał dopiero dwadzieścia lat, ale — gdyby nie jego gadatliwość i zbyt wielki (jak kiedyś sam orzekł) „patriotyzm", przejawiający się przede wszystkim w znoszeniu produktów żywnościowych, wszelakiego rodzaju patelni, garnków i innych artykułów gospodarczych, bardzo wątpliwego zresztą pochodzenia — możnaby ujrzeć w nim kawał przyzwoitego chłopa. Troska o prowiant była celem pawełkowego żywota. Przedwczoraj, gdy znaleźliśmy w lasku nad Wartą „wspaniałą" — jak stwierdził porucznik Walczak — „kwaterę, o nadzwyczajnej wartości strategicznej", i gdy ‚oblewaliśmy" otrzymanie zezwolenia na zajęcie terenu jako „wojskowego", litrem likieru, — zjawił się zaspany Pawełek i stawiając u stóp Rafała klatkę z trzema królikami, zameldował jednym tchem Malinowskiemu:

— Panie plutonowy! Starszy strzelec Pawełek melduje posłusznie powiększenie inwentarza! Króle zostały nabyte za cztery paczki machorki. Proszę posłusznie o zwrot równowartości w gotówce!

Malinowski spojrzał na Rafała a w oczach jego wyczytać było można wielką prośbę o pomoc.

— To belgijki, panie podchorąży — zwrócił się teraz Pawełek do Rafała, nie rozumiejąc czemu Malinowski, przyjąwszy jego meldunek, milczy — belgijki... zdrowe i płodne... Tylko z tym samcem było, panie podchorąży, najgorzej! Był tam taki jeden. Nawet podobałem mu się bardzo, ale nie mogliśmy klatki otworzyć. Kłódka była — jakaś amerykańska... A dwóch klatek na raz przecież bym nie udźwignął. Ale to nic! Jedna samiczka będzie niedługo miała młode, a te dwie... już ja się postaram, żeby i one wstąpiły — że tak powiem — w związki małżeńskie! Mówił mi taki jeden, co z młyna mąkę łódką przewozi, że po drugiej stronie rzeki siedzi u jednego gospodarza i nic nie robi — tylko, tylko cały dzień marchewkę wcina — jeden samiec. Z Danii podobno...

— Dosssyć! Dosssyć...! — ryknął niegrzecznie Rafał, wznosząc błagalnie wzrok ku niebu.

Pawełek — jak zawsze, kiedy Rafał albo Malinowski ryczeli — stał zdziwiony, kręcąc głową.

Żaden z nas nie wiedział, kiedy Pawełek żartuje, a kiedy mówi poważnie. Wiedzieliśmy jednak wszyscy jednakowo dobrze, że „ryk" podchorążego nie jest żadną złą wróżbą. Każde głupie, zachowanie się Pawełka przynosiło w następstwie wspaniałą wyżerkę. Tym razem jednak spotkało nas rozczarowanie, bo Pawełek, zawiesiwszy klatkę na gałęzi wielkiego dębu, oświadczył wszem wobec i każdemu ze strzelców z osobna, że „króliki pochodzą z jakiegoś doświadczalnego zakładu psychiatrycznego i, że jeśli ktoś odważy się dotknąć chociaż jednego zwierzaka, zachoruje na śmiertelną chorobę weneryczną".

Wiedzieliśmy, że łże, ale któż ośmielił by się zadrzeć z nim...? Miał przecież spory zapas machorki grodzieńskiej — Bóg jeden i Pawełek drugi wiedzieli gdzie ukrytej i co dzień rano częstował nią każdego z nas, fasując na głowę pełną garść...

Kiedy przyszło dzisiejszej nocy zwijać obóz, Pawełek znikł nam z oczu, a żaden z nas nie miał czasu pomyśleć o królikach i dopiero teraz — dzięki przypadkowi mieliśmy dowiedzieć się, że to one właśnie były powodem jego złego humoru, przejawiającego się w zabójczych spojrzeniach i... zawieszeniu rozdziału machorki grodzieńskiej.

Pawełek, który przez całą drogę nie zmrużył ani na sekundę oka i nie ruszał się z miejsca, teraz — kiedy Malinowski poszedł z końmi do wody a ja udałem się z Rafałem do dwu pozostałych wozów — zdecydował się zejść na ląd. Nim zdążyliśmy z naszymi strzelcami zamienić kilka zdań, rozległ się straszny wrzask. To Pawełek darł się w niebogłosy:

— Nieeee! Karawaniarzu jeden! Po moim trupie! — odpychając od wozu, pobożnie bijącego się w piersi, Czajkę.

— Widzicie go, odstępcę od wyznania chrześcijańskiego! Do społecznej własności rękę złodziejską wyciąga — wrzeszczał, rozkładając na wozie koc, jaki podczas naszej pierwszej kwatery „zapomniał" oddać gościnnym gospodarzom. — Uważaj! Mówię ci, uważaj bo możesz w ten sposób łatwo nóżki wyciągać, parasolu, dziedzicznie obciążony siódmym przykazaniem...!

Kiedy doszedłem z Rafałem do naszego wozu — Czajka zaklinał się właśnie przed Pawełkiem, że nie wiedział, co znajduje się w worku — który przez całą drogę służył naszemu bohaterskiemu hodowcy królików za oparcie, a teraz został ukryty pod kocem — i bardzo żałował, że z ciekawości odwiązał sznurek. Pawełek tymczasem, bojąc się zapewne spojrzeć Rafałowi w oczy, zwrócił się do mnie:

— Jak wariat zbierałem po nocy żywność — mówił złamanym głosem — szwaby pruły po brzegu na całego... po flaszki musiałem aż na drzewa włazić... Zgubiłem z tego wszystkiego jedną szynkę i 100 „egipskich"... I nie zdążyłem tych samiczek...

Zacząłem się poważnie obawiać, że lada chwila Pawełek może wybuchnąć płaczem.

— Nie zdążyłem tych samiczek zabrać a tutaj taka cholera...

Rafał niespodziewanie wybuchnął głośnym śmiechem, a kiedy podchorąży w takich momentach śmiał się, Pawełek najpierw wybałuszał oczy a później opuszczał głowę na piersi.

Tak stało się i teraz.

Rafał mrugnął do mnie okiem ale nie zrozumiałem o co mu chodzi. Zapanowało milczenie.

Wreszcie podchorąży podszedł do Pawełka, bezradnie czekającego na decyzję:

— Jak myślicie Pawełek — odezwał się miękko — warto by postarać się o jakiegoś prosiaka, co? Uchowalibyśmy sobie chyba w ciągu dwóch miesięcy stopięćdziesiąt kilogramów dobrego mięsa, prawda?

Pawełek popatrzał raz na Rafała, raz na mnie i widząc nasze poważne miny, wyskoczył:

— Eeee! Co to, to nie, panie podchorąży! Najwyżej pięćdziesiąt... w takich warunkach. Tylko to źle — Pawełkowe oblicze wyraźnie przy tych słowach posmutniało — tylko to źle, że nie mamy takiego garnka. Ale to nic! Mogę się postarać! Ja zaraz pójdę, panie podchorąży, dobrze?

— Dokąd!?

— No... po garnek... — Pawełek dziwił się bardzo niedomyślności Rafała.

— Ah, po ten garnek... A po co on?

— No... na ziemniaki, panie podchorąży... Na ziemniaki dla prosiaka. Bo to nie królik, żeby go byle łupinami tuczyć. Zdrowa świnia, tak samo jak i każdy zdrowy człowiek, musi mieć koniecznie ziemn...

— Dosssyć! Dosssyć...!

Starszy strzelec Pawełek był już taki...

**
***

Strzelec Czajka był w moim wieku. W lecie skończył 18 lat. Pochodził z Żyrardowa i był z zawodu tkaczem. Do chwili powołania go do służby wojskowej pracował w podwarszawskiej tkalni mechanicznej.

Miał zwyczaj analizowania każdej tkaniny jaka dostała się w jego ręce. Przeglądał materiał dokładnie pod światło i tarł palcami, by na koniec powiedzieć: „guma", „za rzadki" albo „nietrwały".

Pewnego wieczoru, gdy zgadałem się z nim o życiu robotniczym, z pełnym zaufaniem opowiedział mi o swej przeszłości. Był sierotą i do czasu rozpoczęcia pracy opiekował się nim siedemdziesięcioletni dziadek, fabryczny mistrz murarski. Dzięki jego pomocy młodziutki Czajka mógł uczęszczać do miejscowego gimnazjum ogólno-kształcącego. Ale — chłopak — chociaż profesorowie opowiadali dziadkowi różne dziwy o jego zdolnościach malarskich — nie chciał się uczyć.

— Zdaje mi się, — mówił do mnie Czajka — że przedwcześnie dojrzałem, bo przyszedł taki dzień, że całym sercem zapragnąłem gdzieś pracować zarabiać pieniądze. Nie dlatego tylko aby przestać być ciężarem. Nie!

Z dziejów i teorii socjalizmu

(ciąg dalszy — III)

Przy badaniu dziejów i teorii socjalizmu na tle kapitalizmu współczesnego należy wziąć pod uwagę nie tylko te ruchy społeczne, które stawały się historią walki proletariatu o swoje prawa, ale również i te rewolucje społeczno-polityczne, które — jak wielka rewolucja francuska — uderzając w feodalizm, przynosiły walkę o prawa człowieka, niosły wyzwolenie rzeszom uciskanych i dzięki temu stanowiły tworzywo dla przyszłej rewolucji społecznej, przybliżały tę rewolucję i budziły ruchy proletariatu w sensie emancypacyjnych jego dążeń, jako klasy społecznej. Będą to procesy przygotowujące współczesny ruch społeczny, walczący o zrealizowanie ustroju socjalistycznego.

Stojąc na stanowisku założeń, że podłożem procesów społecznych jest podłoże ekonomiczne, że z kapitalizmu zrodził się — jako przeciwdziałanie społeczno-klasowe — socjalizm, należy i ...ając, że pierwej zrodziły się ruchy społeczne, niż idee socjalistyczne, że zaistnienie procesów zwalczania klasowego poprzedziło sprecyzowanie teorii socjalizmu.

Ruchy społeczne, sięgające mniej więcej połowy ubiegłego wieku nie stanowią jeszcze ruchu społecznego we współczesnym znaczeniu, ale składają się na to, co można byłoby nazwać historią początków tego ruchu. We wszystkich krajach o ustroju kapitalistycznym przebieg początkowych ruchów społecznych ma uderzające podobieństwo. Wspólną ich cechą jest fakt, że ruch masowy tam, gdzie jest jasno określony cel świadomie działającej grupy społecznej, nie jest jeszcze ruchem proletariatu, natomiast tam, gdzie jest ruchem proletariatu, nie jest on jeszcze jasno określony i świadomy celów swego działania. Znaczy to, że w ruchach nacechowanych świadomością działania obok proletariatu działają inne warstwy społeczne, które tym ruchom nadają zabarwienie mieszczańskie; jednocześnie w tym okresie z jednej strony zwrotnym w procesach ekonomiczno-społecznych, z drugiej zaś strony przejściowym — proletariat występując samodzielnie, zdradza niedojrzałość do walki i brak świadomości swoich zamierzeń; działa raczej instynktownie w podświadomym przeciwstawieniu się uciskowi i ujarzmianiu go przez kapitalizm. Podobieństwo to jest wyrazem działania jednakowych przyczyn, a mianowicie kapitalizm, wybuchając z przeogromną siłą, rozbija z jednej strony stary porządek rzeczy ustroju ekonomiczno-społeczno-politycznego, z drugiej zaś strony przydeptuje i usiłuje zgnieść narastające masy ludzi pracy, które reagują na to ruchowym, instynktownym przeciwdziałaniem.

W rewolucji lipcowej we Farncji w 1830 r. i w późniejszym ruchu w Niemczech w 1848 r. toczy się przede wszystkim walka mieszczaństwa z władzą feodalną. W walce tej burżuazja posługuje się chętnie masami robotniczymi, jako sprzymierzeńcami. Wydobyła — jak mówiono — proletariat niby diabła z pudła i nakazała mu zniknąć, gdy osiągnęła przy jego pomocy swoje cele. W 1830 r. fabrykanci zamknęli swoje fabryki, posyłając robotników na barykady do walki ulicznej. W dwa lata później ci sami przemysłowcy, tworząc gwardię narodową, strzelali do tych samych robotników, ponieważ robotnicy ci chcieli urządzić rewolucję, nie prosząc tamtych o łaskawe na to pozwolenie.

Mniej wyrazisty charakter mieszczański wykazuje rewolucja w 1831 r. w Anglii i rewolucja lutowa we Francji w 1848 r. Mieszczaństwo jest tu bowiem u władzy, przeciwko której zrywa się rewolucja. Nie są to bynajmniej ruchy proletariatu, który jednak ściele już swoje trupy na wszystkich barykadach od 1789 do 1848.

W pierwszych ruchach, gdzie proletariat walczy w sprawie własnej i w obronie własnych interesów, słyszy się głucho tylko jakieś dźwięki dotywczas nieokreślone. Czasu dużo upłynie, zanim te dźwięki przeobrażą się w okrzyki, a te z kolei przybiorą formę jasnych określonych żądań i skrystalizowanych programów. Pierwsze ruchy proletariatu, to we dług słów Carlyle'a — drgnienia tej masy nieszczęsnej, głęboko ukrytej pod powierzchnią życia, która potrafiłaby zatrząść ziemią, gdyby chciała się skarżyć.. Ruchy te przejawiają się w początkach burzeniem i plądrowaniem fabryk. O częstości tych wypadków świadczy fakt wprowadzenia w 1812 r. kary śmierci dla tych, którzy dopuszczali się podobnych czynów.

Do wystąpień tego rodzaju zaliczyć należy rozruchy tkackie w Niemczech w 1840 r., oraz rozruchy drukarzy w 1848, spalenie fabryk w Uster w Szwajcarii i bunt tkaczy jedwabiu w Lyonie w 1831. Ten ostatni ruch wyróżnia się od innych podobnych ruchów tym, że wysunął jako naczelne bojowe hasło motto całego ruchu proletariatu: „żyć pracując, albo umierać, walcząc". Wypowiada ono negatywną i pozytywną zasadę etyki nawskroś proletariacko-socjalistycznej: negatywną — że nikt, kto nie pracuje, nie ma prawa do życia, pozytywną — że każdy, kto pracuje, powinien mieć możność życia. Pierwszą formą ruchu proletariatu są zatym walki przeciw zewnętrznie dostrzegalnym przedmiotom, które były niejako wcieleniem wroga-kapitalisty. Niszczono maszyny, fabryki, niszczono mieszkania przedsiębiorców, gdyż były one w oczach tłumu narownią przedstawicieli ucisku.

Następnym etapem ewolucyjnym ruchu proletariackiego jest podjęcie walk z podstawami prawnymi kapitalizmu. Ruch ten zmierza do swobodnego współzawodnictwa w produkcji do zdobycia wolności umów o najem pracy itp. Cechy te przejawiają się w niemieckim ruchu robotniczym w 1848 r, przy całym mieszczańskim charakterze samej rewolucji, wyraża się on w rozruchach robotników, których najogólniejszym programowym dowodem są uchwały kongresu robotniczego w Berlinie, zapadłe w okresie od 23 sierpnia do 8 września 1848. Wśród uchwał tych znajduje się postulat 10-o godzinnego dnia pracy oraz domaganie się zniesienia pracy dzieci.

Do początków współczesnego ruchu społecznego należy zaliczyć również pierwsze niepewne usiłowania, jakie podejmuje proletariat celem wytworzenia tych form organizacji, które miały odegrać w jego późniejszej walce emancypacyjnej rozstrzygającą rolę. Były to pierwsze, w zawiązkach swych chybione, organizacje zawodowe i kooperatywne, t. zw. „ogólne związki robotnicze". Do nich należy angielski związek „Grand-national", powstały pod wpływem Owena, oraz założony o jedno pokolenie później przez Schweitzera niemiecki „Związek zawodowy" itp. Związki te przyjmują mieszczańską formę tajnych związków w rodzaju wolno-mularskich. Po kilku latach istnienia zamierają, nie osiągając swoich zamierzeń.

c. d. n.

K. Z.

Kupon nr 2

na okładkę do powieści „POBUDKI"

(wyciąć i zachować)

Nasz felieton

Przez pryzmat melodii

Przychodzę tu po wielogodzinnej pracy w biurze, aby wieczorami uprzyjemnić czas ludziom którzy nie są zmęczeni. Gram. Dostaję za to kolację i „pensję". Czasami dostaję więcej. Od nich. Od tych, którzy mają mało w życiu mocnych wrażeń i szukają ich tu. Tu to znaczy w „lokalu". Przy stoliku o który toczą walkę z kelnerem lub gospodarzem. Na miejscu o bardzo ograniczonej przestrzeni. Tu jest to magiczne miejsce gdzie zdehumorowani i apatyczni, smutni i zniechęceni odzyskują radość życia.

Patrzę na to zbiorowisko ludzkie od szeregu miesięcy. Znam ten tłum. Wiem o nim wszystko. Wiem niemal wszystko o każdym z tych, którzy od szeregu miesięcy wieczór w wieczór zostawiają tu swoje zdrowie czas i pieniądze.

Tu nauczyłem się psychologii nie studiując w ogóle tej gałęzi wiedzy. Mógłbym napisać pracę naukową dla doktoryzującego się studenta. Niedostrzegalny za zasłoną melodii moich skrzypiec obserwuję bezczelnie i bezkarnie. A na ustach mam błogi uśmiech zadowolenia z radości jaką im sprawiam. Uśmiech dla nich. Łagodny, zachęcający... Mam dla nich całą galerię uśmiechów w zależności od melodii i taktu. Czasami przymykam oczy marzycielsko i namiętnie zagryzam wargi. Spoglądam przy tem na kobiety, którym się wydaje, że „działają". Mimowoli śmiać mi się chce z ich partnerów, którzy gniotąc je w tańcu nie widzą spojrzeń przez mgłę kierowanych w moją stronę.

W przerwach między melodiami przeglądam z zajęciem nuty i słucham rozmów, zwierzeń, przekleństw, wyrzekań na złe czasy i niesmaczną wódkę, na źle przyrumienioną pieczeń i skwarkę w maśle. Patrzę na kelnerów, którzy niestrudzenie przesuwają się między stolikami podając jadłospisy, nakrycia, potrawy, zakąski, wódki. Obserwuję proces nasycania głodu rzeczywistego i wyimaginowanego polegającego na nieuświadomionym apetycie na coś co określa się terminem: „zjadłbym coś, ale nie mam na nic apetytu".

Dyrektorzy z przypadku, radcy z przymusu, żony z zawodu, kokoty z wykształcenia i odwrotnie — siedzą tu godzinami i dyskutują nad poprawieniem świata, nad zyskami i zarobkami, nad robotnikiem i chłopem nad parcelacją i nacjonalizacją, nauką, sztuką, kobietą jako taką i jako inną itp. itd. Do pewnego momentu elokwencja wzrasta z ilością wypitego alkoholu. Znika nieśmiałość i nuda, zmęczenie i apatia. Życie nabiera koloru czerwonego wina. Czerwienieją twarze i oczy. A kiedy podnoszę skrzypce do ramienia i daję znak orkiestrze, kiedy pierwsze tony melodii uderzą im w uszy — przerywają dyskusję, wstają, nabierają z trudem równowagi, zapinają guziki, kłaniają się kobietom odzianym w kolorowe szmatki i wypływają na skrawek parkietu gdzie bezsensownie kręcą się dookoła i depczą sobie po nogach. Niektórzy są zbyt śmiali. Ich odwaga wypływa z przywileju posiadania pieniędzy. Płacą kolację kobietom, które za to muszą spełniać ich zachcianki. Zachcianki impotentów. Damskie nogi wciśnięte w modne i niewygodne pantofle szukają wyjścia i ucieczki przed depcącymi je męskimi stopami nie mającymi pojęcia o tańcu. Patrzę na te pary nóg a potem na twarze, które są blisko siebie. Kobieca twarz zadowolona na niby i męska naprawdę. Otom zuch — wypisano na niej.

Czasami robię sobie przyjemność i przedłużam jej mękę a jemu zadowolenie przechodząc z jednej melodii w drugą. Zmienia się takt, zmieniają kroki i nogi znów nie mogą znaleźć wspólnej platformy porozumienia. Ale mężczyzna jest zawsze zadowolony i często nabiera tak wielkiej fantazji, że zamawia u mnie specjalny taniec. I płaci.

Widzę tu wiele. Przeżyłem tu niejedne oświadczyny i niejedną odprawę, widziałem wiele skandali małżeńskich, słyszałem płacze tłumione i jawne, byłem świadkiem pożegnań „na wieki" i dąsów, zawierania dozgonnych przyjaźni i likwidowanie niemoralnych stosunków.

Ja jestem dla tego zbiorowiska ludzkiego skrzypkiem. Mniej. Jestem instrumentem rozrywkowym, jednym z rekwizytów tego lokalu. Ja gram, a oni tańczą.

A kim oni są dla mnie?

ZO-TA.

Piórem i piórkiem



Dwaj „zawiani" w „zoologu"
Mocno się dziwili:
„Popatrz, Feluś — to ciekawe,
Za co go „wsadzili"...



Po grabieży statku,
Piratom zrzedła mina —
Bo w skrzyniach—miast skarbów,
Jest z UNRR-y konina...



Przysłowia są mądrością,
Prawda ich wciąż słynie,
Bo nie warto rzucać
„Perły" między — świnie!...

W krainie Skanderbega

Czytałem gdzieś taką historyjkę:

„Pewnego dnia postanowił Pan Bóg, po raz pierwszy od stworzenia świata, zstąpić na ziemię, by zobaczyć, jak też tam teraz wygląda. Ale zaraz na wstępie zauważył, że tyle się zmieniło, iż nie mógł się w dziele swym rozeznać bez przewodnika. Zwiedził przy jego pomocy wiele krain i ludów, aż wreszcie przybył do Albanii. I jak tylko przestąpił jej granice, uradował się w sercu swoim. I zaraz odprawił przewodnika: mówiąc: „Idź synu, w tym oto kraju dam sobie już sam radę, bo jak widzę, nic się tu nie zmieniło od czasu stworzenia“...

Anegdota — jak anegdota, ale w każdym razie nie był entuzjastą albańskiego postępu ten, co ją wymyślił.

Nazywają Albanię „krainą orłów“ ze względu na jej niedostępny górski teren, a niekiedy — „krainą Skanderbega“, na cześć największego bohatera narodowego Albanii, który żył przed 500 laty.

Dzisiejsze niepodległe państwo albańskie, kraik o jednym milionie mieszkańców, historią swą sięga w zamierzchłe czasy starożytności. Obecni jego mieszkańcy, Albańczycy, zwani także Skipetarami, (mieszkańcy gór), lub z turecka — Arnautami, są potomkami storożytnych Ilirów, zmieszanych z dawnymi Trakami, a później — z Czarnogórcami, Serbami i Grekami. W ciągu wieków ulegała Albania podbojom ze strony Rzymian, Wizygotów, Bizantyjczyków, Serbów, Wenecjan, Bułgarów, a wreszcie Turków, którzy dopiero po 100 latach ciężkich i uporczywych walk, na długo uczynili z Albanii swoją prowincję. Lecz nim doszło do tego, przeżył mały kraik krótkotrwały okres swej bohaterskiej epopei, która się wiąże z imieniem Skanderbega.

JERZY KASTRIOTA

Skanderbeg, a właściwie — Jerzy Kastriota, żył w latach 1403—1468. Jako syn drobnego albańskiego księcia (matka była Słowianką), dostał się w młodym wieku jako zakładnik do Konstantynopola. Turcy wychowali go w wierze muzułmańskiej, nazywając go „Skander“, albo „Iskenderbeg“, co znaczy „książę Aleksander“. Młody człowiek tak się wyróżniał zdolnościami, że powierzano mu różne odpowiedzialne stanowiska państwowe. Lecz kiedy w r. 1443 Węgrzy pod wodzą naszego Warneńczyka zaczęli napierać na Turków. Skanderbeg uciekł do ojczyzny, stał się znów chrześcijaninem i podniósł w Albanii powstanie przeciwko Turkom. Przez 18 lat walczył zwycięsko. Sam sułtan Murad II (zwycięzca z pod Warny!), daremnie wojował z nim i oblegał go w górskiej twierdzy Kroja. Pomimo 100 tysięcznej armii, musiał ustąpić, a w pokoju, zawartym w 1461 roku, Skanderbeg uznany został niezawisłym władcą Albanii! Sława jego imienia szeroko rozeszła się po świecie. Wkrótce po jego śmierci skończyła się i niepodległość Albanii. Część mieszkańców wywędrowała wtedy w inne kraje, większość pozostałych przyjęła z czasem islam, który w 90 procentach wyznaje po dziś. Obecna niepodległość Albanii datuje się dopiero od 1912 roku.

ZEMSTA RODOWA

Nie dziwmy się więc zacofaniu tego kraju. W górzystym wnętrzu Albanii nawet panowanie Turków było pozorne. Albańczycy dzielili się na rody, z których każdy stanowił jakby osobną republikę, pod zarządem rady starszych (Kawent). Niestety, dziki pierwotny obyczaj, zwany „zemstą rodową“, przez wieki wyniszczył ten kraj, powodując nieustanny rozlew krwi. Liczba zabójstw z przyczyny „zemsty rodowej“ sięgała w Albanii 42 procent wszystkich zgonów!

Dopiero od niedawna, dzięki lepiej, na europejski sposób zorganizowanym rządom, stosunki te uległy poprawie. Sądownictwo, zapewniające wszystkim bezstronny wymiar sprawiedliwości, położyło kres tym okropnościom.

KRAJ BEZ KOLEI

Albania jest dotąd jedynym krajem w Europie, który prawie nie posiada kolei, Bo trudno kolejami nazwać 65 km wąskotorówki, zbudowanej przez Niemców w ciągu ostatniej wojny. Drogi kołowe też są w stanie opłaknym. Trudny jest dostęp do Albanii i od strony morza. Wybrzeże częściowo płaskie, zamulone, częściowo skaliste i urwiste, czyni z portów albańskich raczej niezabezpieczone redy, nie zachęcające do żeglugi. Z wyjątkiem Tirany, która za panowania króla Zogu zabudowała się nieco na sposób europejski, inne miasta trudno nawet nazwać miastami. Są to wielkie wsie, którym zgoła orientalny charakter nadają liczne minarety i bazary, urządzone na sposób wschodni.

OSŁY I SAMOCHODY

Panowane króla Ahmeda Zogu I wywarło pewien wpływ na bogatsze sfery kupieckie i mieszczaństwo. Zeuropeizowały się stroje, kobietom zakazano muzułmańskiego zwyczaju zasłaniania twarzy, w związku z czym pojawiła się wodna ondulacja, puder i pomadka do ust. Dla usprawnienia komunikacji, z braku kolei przyjął się samochód, który, spotykamy dość często na ulicach Tirany, obok tradycyjnych zaprzęgów w osły i muły. Zrobiono również coś niecoś w kierunku szkolnictwa i wychowania młodzieży. Nowinki te nie dotarły jeszcze do gniazd wysokogórskich, gdzie nadal żyje się po staremu, zabijając się i grabiąc odwiecznym zwyczajem. Cywilizacja nowoczesna liznęła Albanię tylko po wierzchu, kultura ma tam wciąż wygląd mocno operetkowy.

Jednego tylko w Albanii nie brakuje: melonów i arbuzów! Chłopi zwożą je tam w nieprawdopodobnych ilościach i sprzedają dosłownie za grosze.

Amatorzy melonów, jedźcie do kraju Skanderbega! Nie zapomnijcie tylko zabrać z sobą beczki flitu, oraz skrzyni trociczek i proszku perskiego! Bo jak się skarżą rzadcy turyści, Albania ponad wszystko obfituje w moskity, zależnie od terenu, i w pluskwy — od terenu niezależnie!

K. ZRYW

Redaguje — Komitet
Sekretarz Red. — Sergiusz Jaśkiewicz
Wydaje — Woj. Komitet PPS w Łodzi
Redakcja i administracja: Łódź: Piotrkowska 68, tel. 112-54
skrytka pocztowa nr 7
Godziny przyjęć: redakcji — 10 — 12
administracji — 9 — 17
Prenumerata: miesięcznie — 20 zł.
kwartalnie — 50 zł.
Cena ogłoszeń:
za milimetr — szpaltę 50 zł.
Skład: Druk. „Książka“ Druk: Druk. „Czytelnik“ w Łodzi.
D-015198



RABANKA

Z Lufą i Tasakiem w Zoo

Ile razy ludzie mi dokuczą, idę do Ogrodu Zoologicznego. Widok prawdziwych małp dobrze mi robi na nerwy, a milczące rozmowy z czarującą dwudziestolatką — słoniczką Magdą niejednokrotnie już pogodziły mnie z życiem. Stare powiedzenie, że „małpy tym się różnią od innych zwierząt, że są do nich ludzie bardzo podobni" — nie wytrzymuje krytyki. Bo małpa nie obgaduje nikogo, nie podstawia nogi, nie udaje przyjaciela, nie pożycza pieniędzy...

Czuję sympatię nawet dla groźnych drapieżników, bo nie potrafią się maskować: nie urządzają konferencji pokojowych, nie zawierają fałszywych umów, nie fabrykują żadnych „V", ani bomb atomowych.

Zakratowane w ciasnych klatkach niedźwiedzie, pogłębiają moje współczucie dla więźniów. Struś imponuje mi swymi jajkami, z pary których możnaby zrobić omlet na dwadzieścia osób! Albo taka hipopotamica Lusia! Czy jest do pomyślenia u ludzi — połączenie takiej dobroduszności przy tylej gruboskórności?

— Powinieneś się Redaktor przeprowadzić do tego Zoologu, o wiele ci sztosunki z namy ludźmi nie odpowiadają! — powiada do mnie z przekąsem tow. Lufa, kiedy mu się zwierzyłem ze swoich refleksji. — Jeszcze mi nikto od małpów, ani od słoniów nie przymawiał! — dodał.

Dobry towarzysz, w swej prostoduszności wziął widać moje wynurzenia za osobistą przymówkę.

Jakże trudno jest porozumieć się nieraz nawet z najlepszymi przyjaciółmi! Ostatecznie dał się jakoś udobruchać, a nawet namówić na wspólną wycieczkę do Zoo, którą właśnie odbyliśmy w ostatnią niedzielę.

— Faktycznie, że i mnie te małpy przypominają niejednego znajomego! Popatrz Redaktor, na te popielate z czubkiem — czy nie wykapana obywatelka Zajączko?

— Tylko że Zajączko skórki takiej wartościowej nie posiada — odezwał się za nami znajomy głos. — Nie jedno porządne futro dałoby się uskutecznić z powyższej małpiej ferajny!

Ob. Tasak, gdyż on to był we własnej osobie, chciwym okiem taksował cały małpi gaj i tłumaczył nam rzeczowo wartość małpich grzbietów i podbrzuszy.

Lufa skrzywił się niechętnie.

— Pan to nawet tutaj nie potrafisz chodzić bez oblizywana się i handlowych karkulacji! — zauważył.

— Tak sobie mam za zaszczyt! Na to człowiek rozum i przemysłowe smykałkie posiada, żeby wiedział, na co Pan Bóg zwierzęta stworzył!

— To pan żadnej miłości do zwierząt nie odczuwasz? — spytał Lufa.

— Jak to nie odczuwam? — zawołał Tasak urażony. — Bez tego nie byłoby się rzeźnikiem! Ja furt od małego tylko ze zwierzyną obcuję, jakże znakiem tego miałbym ich nie lubić? Każde zwierzę — to forsa gotowa, trzeba tylko umieć z niemy odpowiedzialnie się obchodzić!

...Przed ogrodzeniem Magdy zapytał mnie, czy mięso słoni jest jadalne.

— A ja bym was tak zamalował tą trąbą, żebyście zaraz sami pomiarkowali! — wybuchnął porywczo mój towarzysz.

— A was, za przeproszeniem, co za giez ukąsił — spytał Tasak zadziwiony. — Ogród Zoologiczny jest zakład naukowy i każdy dla wyższego wykształcenia zwiedzać go powinien! Nawet dzieci ze szkoły tu po to przychodzą!

Towarzystwo naukowca zaczęło nam jednak ciążyć jak zmora. Lufa nie ukrywał nawet swego niezadowolenia i spluwał demonstracyjnie, gdzie się tylko dało. Odczepiliśmy się od niego dopiero przy łączce, na której pasły się bawoły i bizony.

Zostawiliśmy go tam, pogrążonego w „naukowych" rozmyślaniach.

— A to zimny drań! Taki — całą przyjemność może człowiekowi popsuć, bydlak nierogaty! — irytował się Lufa. — Wracajmy jeszcze z powrotem do tych małpów, żeby się uspokoić i o tem „człowieku" zapomnieć!

— A nie mówiłem wam?... — wtrąciłem ze smutnym tryumfem w głosie.

KIEŁ.

List z Warszawy

Jeśli przyjedzie ktoś do Warszawy po kilkumiesięcznej nieobecności, mając do dyspozycji wygodny *samochód*, na parę dni do znajomych, aby „obejrzeć Warszawę i odetchnąć stolicą" *woła* z zachwytem:

— „Ile tu zrobiono! Jaki ruch! Tyle macie tramwajów!

Ale jeśli ktoś przybędzie w interesie i musi tak samo, jak mieszkańcy korzystać w miejskiej komunikacji, jeżdżąc przez pół dnia z krańca na kraniec, ociera pot z czoła i ciężko wzdycha:

— Ale tu żyć trudno!

A gdy jeszcze w dodatku nie może doliczyć się guzików u palta, gotówki w portfelu lub nawet czasem nie może znaleźć samego portfelu, który mu w tłoku wyciągnął jakiś „fachowiec", klnie głośno i dosadnie.

Bo rzeczywiście miejska komunikacja nie spełnia marzeń warszawiaków. Ciągle jest za mało wozów tramwajowych, ciągle za mało autobusów, które trzeszczą pod naporem zbyt wielkiej ilości pasażerów, zawieszonych gdzie się da. W okresie kar i mandatów stopnie wozów były coprawda puste — bo kto ma 100 złotych do wyrzucenia — ale za to w wagonach jeździli właściciele „mocnych łokci i pięści".

Zakazy i kary nie rozwiązały problemu. MZK zagroziły nawet, że autobusy będą miały wciągane schódki.

Wątpliwie jednak, czy to coś pomoże Warszawiak zwykł mawiać:

— Z Niemcami dawaliśmy sobie radę a swoich nie wyprowadzimy w pole?

No, cóż, każdy chce jechać.

* * *

Miejskie Zakłady Komunikacyjne chwyciły się więc jeszcze jednego sposobu. Zainstalowano pierwsze barierki w kształcie labiryntu w najruchliwszym punkcie. Aby dotrzeć do pomostu wozu tramwajowego trzeba przejść parę razy między barierkami.

Póki stoi długi ogonek ludzi — wszystko jest w porządku. Lecz, gdy znajdzie się tylko jeden lub dwu pasażerów, przechodnie aż trzymają się za boki ze śmiechu, patrząc, jak w pośpiechu, amatorzy jazdy tramwajem kręcą się w labiryncie, by zgubiwszy w końcu droge, wyjść spowrotem na chodnik...

* * *

Tak. Komunikacja warszawska nie należy do najprzyjemniejszych. Kursują coprawda na mieście taksówki. Ale który z szoferów chce jeździć na licznik? Płacą po parę tysięcy złotych kary, gdy trafią, nie „na frajera". Płacą bez szemrania, bo na następnych kursach zarobią trzy razy więcej.

Ostatnio Warszawa ma sensację Wszyscy chcą jeździć takówką nr 44. Gdy jakiś szczęśliwiec odnajdzie ją:

— Panie kierowco pojedziemy na licznik?

— A jakże inaczej?!

Ale i wtedy człek też nie jedzie, bo mdleje z wrażenia.

Wu-eS